

# Dziennik domowy.

*Próżno się na polu wadzisz,  
Jeśli doma nie uradzisz.*

REJ Z NAGŁOWIC.

**ROK 1842.**

Poznań, dnia 6. Lipca.

**DZIENNIK DOMOWY**, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydane jest rycina mód paryskich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

## Powieści w podróży.

przez

Lucyana Siemienińskiego.

Wczoraj, kiedy koleją żelazną pędziłem do Bazyli, jak rumakiem, co na kiel weźmie i swego jeźdźca unosi, kiedy wiatr gwizdał mi koło uszu, a para ryczała, jakby sto wołów zarzynała — a góry, a doliny, wsie, miasta, ludzkie twarze uciekały ode mnie, zdało mi się że rycerz owiej niemieckiej ballady, co czwając powietrzem mówi porwanej kochance:

Umarli prędko jadą...

O, prędko! prędko jechałem, także umarli dla tego świata co mi w koło majaczył, migał, uciekał. Żeby tak lecieć, zawsze lecieć niezatrzymując spojrzeń na żadnej z tych twarzy człowieczych, zimnych, niewitających się ani wesołych: jak się masz! gdy przybędziesz, ani tęskniesz: bywaj zdrow: gdy się lokomotyw porywa; — cała ich uwaga wyteżyła się na cud Watta i Fultona... Och! żeby przelecieć — myślałem sobie — przelecieć siedem rzek — siedem gór — i ujrzyć się nagle na czarnej ziemi podolskiej, wśród zbożnych łąk, stert zastępujących zamki i góry, i siedzieć na bryczce którą para szkapiąt stępą pociąga wśród błotnistego gościńca! — Dalbym za to — wiercie mi — całą rozkosz zmysłową tych szczęśliwych kramarzy i spekulantów cieszących się gdy w trzy godziny odprawia interes, jaki dawniej trzy dni wymagał... Wprawdzie niewielka to ofiara dla mnie, com ani spekulantem, ani kramarzem, dla mnie, com zagubił już rachubę czasu, wiecznością mieniąc dzień każdy, com rad że łykam powietrze, niedbając

czy przedźję, lub później wyrzucą mię przed drzwi hotelu... O, śmiećcie się zemnie dobrzy nasi wieśniacy, narzekający na trudne dostawy, roskalne drogi, złe mosty, na pijanych woźniców, brudne karczmy, i na cały, nieskończenie długi rejestr naszych ojczystych nieporządków. — O, krzyczcie na mnie cywilizatorowie i ekonomiści za zdania przeciwpostępowe, ale ja dla tego nieprzestanę tutaj powtarzać: niemasz jak nasze błoto, nasze bryczki, nasze karczmy, nasze mosty! tam jeszcze gnieździ się poezya podróży, tam wrażeń prawdziwszych więcej, niż we wszystkich wrażeniach Alexandra Dumas. Wyjeździesz np. na step nieprzejrany, możesz nawet niepilnować niewolniczo gościńca, możesz kierować się do gwiazd, do słońca, do mogił, do krzyży, i zawsze jesteś panem swęj woli; krzykniesz stój! i staniesz — jedź! jedziesz; chcesz zboczyć do przyjaciela, zboczysz; podobą ci się gaik, łąka, strumyk — kładziesz się w cieniu, i spisz; upatrzysz zająca lub kaczkę — nuż za dubeltówkę — pa! i wierny wyżeł znosi zwierzynę. Co więcej! tak podróżując, możesz pełnić cnoty chrześcijańskie! spotykasz wiekiem schyłonego staruszka, co iść niemoże, dziewczynkę coby iść niechciała — zapraszasz ich do swojej bryczuszki i w pierwszym masz rozmownego towarzysza który ci plecie o całej szlachcie okolicznej, i o starszych niż sam, czasach, a w drugiej ładną, rumianą twarzyczkę, która ci za przysługę zobowiązującym dziękuje uśmiechem... Zróbże coś podobnego na kolei żelaznej, gdzie niewybierasz towarzyszy, ale przyjmujesz jakich ci traf nadarzy, gdzie musisz znosić ciężar otyłych ciał, szturchanie chudych łokci, słuchać płaskich rozmów i odpowiadać na płaskie pytania. Wolność twoja osobista pogrzebiona



na wieki: nogą stając w wagonie, jesteś niewolnikiem pary, minuty, sąsiada, konduktora, który drzwiczki zamknawszy na klucz pozwala ci się żywcem spalić — system socyalny położył na tobie rękę i musisz skakać jak ci zagra. — O, dla tego też niema jak nasze błoto, nasze bryczki, nasze karczmy, a nawet nasi pijani woźnice! Porównując te dwa stany ruchu, tak odległe od siebie, tak przeciwne, tyle odrębnych wzbudzające wrażen — rzuciłem się myślami w lat kilka nazad — w strony rodzinne podolskie — kiedym pewnego razu włókł się po czarném, rozrobioném błocie: koła chowały się po osie; konie zaciagały się i szły jak w plugu; Rusinek co mię powoził kłął w Didka, w mać, we wszystko złe, a wywijając wciąż biczyskiem to zrywał się z kozła, to rzucał na wznak, jak ten, co wszystką nadzieję utraci. — Bo też zaiste było czego rozpaczać: dzień najśliczniejszy majowy — oziminy ciemno zielone, jaśniejsze jarzyny, zdawały się rosnąć w oczach; — w powietrzu huk śpiewającego ptastwa — jakieś dziwne rokoszne życie dokoła — tylko na drodze, z kilkodniowych deszczy, topiel, która teżejając w gorącu słońca, wyciskała krwawy pot koniom, a nam ostatek cierpliwości. — Gdy tak włączemy się po marnościach światowych, mój Rusinek zaдрemował, a ja chcąc się wprawić w stan extatyczny rozmyślałem o planie jakiegoś dziwnie ruchliwego dramatu, i jak bliski byłem rozwiązania katastrofy, gdy niespodzianie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! wyrwało mię z zamyślenia, a woźnicę mego ze snu i odpowiedzieliśmy: na wieki! — Ów witający nas, był jakiś staruszek, który zrównawszy się z nami właśnie uchylał czapki odkrywając łysinę i kilka bielutkich włosów. Szara jego wynoszona kapota, podpasana rzemiennym pasem — gruby kij w jednym ręku, a w drugim niewielki węzełek, wydawały zagonowego szlachcica. Upał wiosennego słońca, droga ociążała i wzgląd na wiek taki podeszły, kazały mi się dorozumiewać, że trud podróży musiał bardzo unużyć staruszkę; dla tego zaraz wszedłem z nim w rozmowę i zagadłem: czy daleko jeszcze do S\*\*\*? odpowiedział że opętane półtóry mili. — A waszmość także tam zmierzasz? pytałem dalej. — Tak jest, mości dobrodzieju — ale po tém błocie niewiem czy stanę na południe; a gwałtem muszę, bo mam termin na sądach. — Ja nato: choć i my niebardzo pospieszamy; wszelako tu owdzie zaczyna już podsychać; siadaj waszmość zemną, przynajmniej nóg sobie oszczędzisz. — Staruszek nie długo dał się prosić, i z tysięcznemi podziękowaniami zajął miejsce koło mnie. Że był dosyć gadatywuś dowiedziałem się, iż kiedyś służywał po wielkich dworach, gdzie ubierał

kilka groszy, a te oddawszy na procent złemu dłużnikowi, zmuszony został wytoczyć proces ciągnący się już lat kilkanaście co go tak zrujnowało, że niema taraz zaco nając sobie podwoły. — Znudzony cokolwiek przydługim opisem wykrętów trybunalskich, usiłowałem zwrócić rozmowę ku dawniejszym czasom, i nakierowałem pytanie do starosty Kaniowskiego, o którym kilka razy był wzmiankę uczynił.

Znałem ci go jak zły szeląg, mości dobrodzieju — mówił staruszek z westchnieniem za lepszymi czasami — ot takim chłopakiem przyszedłem na dwór tego pana; jemu to winienem moją substancję, która tak marnie poszła na patronów i sędziów, i kto wie, czy nie za jego psoty teraz pokutuję.

Tu się zatrzymał i łzę otarł — i znowu mówił dalej: oj, był też to wielki paliwoda ten starosta Kaniowski, jednego kroku niestąpił aby jakiegoś excessu niepopelniał; czy to bywało jesteśmy w drodze, czy gdziekolwiek, każdy uciekał z traktu aż się kurzyło, byle się tylko niespotkać z dworem pana Kaniowskiego; bo ileż to razy zjechawszy się z kim sobie równym w wąwozie, zaraz wyzywał na szablę; ile razy całe bryki żydów w rów wywracał; znowu Dominikanom kazał leżeć w białych habitach przez beczkę mazi — a i biednym ludziom nieprzepuścił; ubiwszy z rusznicy babę co kukła na drzewie. — Ale przy końcu, podobno się poprawił, pokutował? —

Diabła tam! zawołał staruszek śmiejąc się serdecznie. — Słyszałeś pan bajkę o wilku pokutującym? tak samo i starosta pokutował przesiadując w swojej jamie w Buczaczu albo Poczażowie, gdzie spaniały klasztor wznosił niby za stare grzechy i że się nie szwędął po gościńcach to prawda, ale zato kto mu się blisko nawinął — łap! i biedakowi dobrze zalał za skórę. — Między innemi, przychodzi mi namysł owa sławna awantura z Bernardynami. — Czy sty-rzałeś pan o niej? —

Nie, nie słyszałem — jakżeż to było? — Oto tak... ksiądz Gwardyan i drugi jeszcze Bernardyn, z klasztoru niepomnę którego — zanie-mogli w skutek wilczej choroby; ma się rozumieć, że zbytniego nadużycia tłustych pokarmów i starych miodów tak nadzwyczajnie utyli, że ani rusz do bre-wiarza i do chóru. — Pocziwi ojcowie niechcąc się wyłamywać od obowiązków swojego stanu, umy-ślili zasięgnąć rady sławnego doktora Niemca w Krze-mieńcu. Tym końcem zaopatrzywszy się w różnego gatunku wiktuały, kazawszy założyć trzy tęgie kwe-starskie szkapę do brodzkiej budy, ruszyli szczęśli-wie w podróż. Droga wypadła im przez Poczażów, gdzie właśnie murowano klasztor bazyliński. — Oj-



cowie domyslać się, że wszystkie gospody w miasteczku muszą być zapchane różnymi rzemieślnikami i artystami, których pan starosta z całego świata sprowadzał, woleli, aby spokojnie odprawić sobie popas, zajechać do lichy karczemki przed Poczajowem. Już byli zasiedli poważnie za stołem, już parobek rozkładał przed nimi faskę bigosu, całą cielecą pieczeń i sztof węgierskiego wina, już po zwykłej benedykcyi, zabierali się do pożywania darów bożych, kiedy do izby wpadł Kozak w płóciennych szarawarach i w kurtce barwy potockich. — Dzień dobry arendarzu! krzyknął na żyda, który się nisko pokłonił — dawaj no wódki, a dobrej... Żydek się krzątał, a on z ukośa mierzając Bernardynów, zbliżył się nieznacznie, i uchylając czapki życzył im dobrego apetytu. — Dziękujemy aspanu! odpowiedzieli żałośnie; dałby pan aby się wasze życzenie spełniło.

Ponoś to dobrodziejom nigdy na tém nie zbywa — wtrącił z przekąsem Kozak.

Pięknie niezbywa! zawołał Gwardyan, odsuwając talerz z bigosem — ledwie podziubał i już nie mogę...

Pięknie niezbywa! powtórzył drugi odsuwając pół zrazu pieczeni — już drugi tydzień nieziem i za dziecko!

To osobliwsza choroba! rzeknie Kozak z prawdziwem, czy udanem zdziwieniem.

Pewnie że osobliwa! dla tego też jedziemy radzić się doktora.

A dokąd jeżeli wolno zapytać dobrodziejów?

Do Krzemieńca.

Znam ci ja tego Szwaba — doda Kozak kiwając głową — schowa dukaty a niewyleczy.

Tak myślicie? przecież tu niema nigdzie sławniejszego.

Ha! ha! — a ja wiem że nasz baćko Kaniowski zarazby was wyleczył...

Być może!... być może... potakiwali mnichy — ale nam się zdaje dodali pół głosem, żeby od siebie zacząć powinien pan starosta, i naprzód sobie głowę ogolić...

Kozak zdał się to puścić mimo uszu, tylko palnawszy kielich gorzały, pokłonił się mnichom, i siadł na konia co stał przed karczmą. Niedługo i oni popasłszy szkapy ruszyli dalej. Gdy przejeżdżali po pod górę na której stawiano klasztor, dziwili się wielce spaniałym murom, i mówili między sobą: Co mi za sztuka, mazać swoje grzechy cudzym potem i pracą, ale czemu to pan starosta sam się do kielni niewieźmie?

W tém, ja, co z rozkazu starosty stanąłem za ich bryczką, z nienacka krzyknę im w uszy dobierając

grubego głosu: Pan Kaniowski prosi Ojców dobrodziejów do siebie!

Bernardyni, jakby między nich piorun trzasł omal niepospadali z bryczki, i drżącym językiem wymawiali się że muszą pilnie jechać dla poratowania zdrowia.

Ale pan starosta bardzo prosi; — powtórzyłem nalegając i kazałem furmanowi zwrócić na górę. Mnichy radzi nie radzi zgodzili się na to, lubo oba po cichu szeptali: sub tuum praesidium!

Zostawiwszy ich na chwilę oglądających mularkę, sam poskoczyłem zameldować panu staroście o zajęciu mnichów.

Starosta kazał sobie podać spaniały kontusz i wyszedł na spotkanie gości: Witam dobrodziejów! witam — mówił uprzejmie, gdy go księża za kolana ściskali. Jesteście słyszałem chorzy? biedaczki! znać to po was.

Bernardyni ze spuszczoneym wzrokiem, nuż opowiadać swoje cierpienia. Ja was wyleczę — no, załóżcie się że wyleczę — po co wam, szukać cudzych bogów, ja starosta Kaniowski wyleczę was.

Ależ jasnie wielmożny starosta!... przekładają mnichy w śmiertelnym ambarasie, poznawszy w nim owego Kozaka z karczemki.

Założcie się że wyleczę, mówił nieublagany starosta — i to bez kosztu... Hej! jest tam który z mularzy, podać tu fartuch i kielnię — ojcie Gwardyane będziesz murował! Podać tu taczki! — a ty — obracając się do drugiego Bernardyna — ty będziesz cegłę woził... hierarchia musi być zachowana, jak w klasztorze.

Mnichy widząc że to nieprzelewki i bojąc się by coś gorszego na nich niespadło, z wielką wszystkich uciechą wzięli się do roboty... Bryka z końmi i furmanem wróciła nazad do klasztoru... Pan starosta potrzymany ich dobry ruski miesiąc na skromnym wikcie i w ustawnym ruchu, sprawił, że owe piętraste podbródki i ogromne brzuchy poznikały jak kamfora.

Gdy się czas kuracyi skończył, kazał ich przywołać i spytał: a co, macie apetyt dobrodzieje?

Oj mamy! mamy! — odpowiedzieli głaszcząc się po brzuchach.

Będziecie ze mną jeść obiad! — I na tym to obiedzie nakarmiwszy, spoiwszy ich należycie, że prawie byli bez pamięci, kazał założyć konie do karyolki i odwieść do konwentu. — Z tego powodu urosła przypowieść: że pan Kaniowski lepszy doktor niż ów Niemiec z Krzemieńca, bo i wyleczy i grosza niewieźmie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



## Z Ameryki.

## List Wiktora Ko..... do rodziców.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Pro-  
wincya Massachuset. Wieś Sztohbrydz.

## Najukochańsi Rodzice!

Wasz list z r. p. odebrałem dopiero 10. Kwietnia w tym roku. Napróżno bym chciał skreślić uczucia roskoszy i boleści razem jakich w tej chwili doznałem, chyba bym musiał nowy jaki wyraz wynaleźć, bo napróżno bym go szukał w całej naszej mowie. — I cóż może czuć w takiej chwili tułacz, co się od dwóch lat błąka bez celu, puszczone jakby na los wiatrów — wygnany gdzieś na drugie pół kole świata, co żył niegdyś jakby w raju opromienionym miłością i nadzieją, wśród wieńca splecionego z drogich istot rodziców, sióstr, brata i przyjaciela i takich rzadko komu nieba dały — a dziś wśród mnóstwa obojętnych cudzoziemskich twarzy co go zrozumieć nieumieją — wśród serc lodowatych ledwo znajdzie kiedy jaką pocziwą duszę, co go choć uśmiechem litości obdarza. I tak wzdychając za przeszłością, dręczy się za siebie i za tych którym jest przyczyną utrapień. — Ah! pojmuję wasze cierpienia drodzy rodzice, i gdybym mógł zwyciężyć żądze przelania całej duszy mojej w waszą, niepowinienbym powiększać waszej goryczy obrazem moich cierpień, bo i tak nie mało mam sobie do wyrzucenia. Ale nie traćmy nadziei — bądźmy mężni i cierpliwi, a przedwieczny stwórca stałość naszą wynagrodzi. — Gdy nie raz mój umysł upadał pod ciężarem przeciwności — wyznam wam, że czasem na widok tryumfującej zbrodni i podłości, przychodziło mi wątpić o wszystkiem, a nawet o opatrności — ale miłość synowska będzie aniołem stróżem pojednywającym mnie z niebem. — Wezwijmy więc na pomoc tej wiary — wszak nie zawsze cnota upada — może i dla nas jeszcze pogodniejsze niebo zaświeci, aby nas połączyć węzłem nierozzerwanym i ustalonym przez cierpienia. Chociaż przyjemnie jest mi niezmiernie słyszeć, że wszyscy zdrowi jesteście, ten list jednak datowany rok temu i niezawierający żadnych szczegółów, niemógł mnie jak tylko w bardzo małej części zaspokoić. — O ilec bym podwójnie cierpiał gdyby zdrowie wasze jaki uszczerbek z mojej przyczyny ponosić miało! ale zaklinam was, żebyście się nietroszczyli — prawda, że nas los przygnębił — ale czy lepiej było daleko od was gnuśnić nieczynnie, czy lepiej choć daleko od was, ale wolnym oddychać powietrzem, ukształcać umysł, hartować serce, nabywać znajomości praktycznego i towarzyskiego życia, i nie z uległością służalca czekać,

czy się los nad nami nie zlituje, ale z całą godnością wolnego człowieka samemu walczyć z losem, torując sobie drogę wśród cierni. — Spodziewam się że spokojniejsi będziecie po poczytaniu całego mojego listu. Z boleścią uważam iż żaden z poprzednich listów moich, których już pięć po mojem przybyciu do Zjednoczonych Stanów różnemi drogami wyprawiłem (prawda, że na los szczęścia, bo nie miałem żadnej pewnej komunikacji), nie doszedł zapewne rąk waszych, przeto, widzę się przymuszonym wszystkie moje wypadki pokrótce, to jest o ile granice listu pozwalają, powtórzyć. — Wiadomy jest wam przyjemny mój pobyt w Helenkowie, a później podróż po Galicyi obywatelską pocztą. Pierwsza to dla mnie i gorzka była próba w poznaniu ludzi i świata — ile czasem potrzeba zmuszała znieść upokorzeń dotkliwych dla serca dumnego, chociaż wiele także prawdziwie patryotycznych serc gościnnych, rzadko kiedy pod pałacami lub pałaczkami, ale pod skromną strzechą posesora lub oficjalisty, znajdowałem. Lecz podobne szczegóły zostawiam do dziennika, albo do błogosławionej chwili oglądania was drodzy rodzice, a która, że wkrótce nastąpi, jakieś mam szczęśliwe przecucie. Teraz wam tylko główne okoliczności, czyli raczej marszrutę moją z Tarnowa do Tryestu poszczególnie. — D. 19. Czerw. 1833. r. opuściłem Tarnów z sześciami kolegami już pod eskortą wojenną. Podróż moją do Brynu, chociaż w nieznośnem towarzystwie bagnatów, i pełną niewygod, do których jednak już poprzedniczo cokolwiek wezwyczajony, nie mogę nazwać nieprzyjemną. Chociaż ze ściśnionem sercem opuszczając ojczyznę, pewien jednak nadziei, że ja wkrótce w szczęśliwszych okolicznościach ujrzę, w dobrém zdrowiu, w dzieciennym jeszcze przekonaniu, że nie ja przed losem, lecz los przed moimi życzeniami ugiąć się musi, chciwem okiem poglądałem na przesuwające się przedemną obrazy. — Piękne to są dwa cyrkule bocheński i wadowiecki — to przestronne łąki przerywane bystrzemi strumieniami z podgórza, to znowu droga ścieśniona pomiędzy podgórzem i łańcuchem słabiejących już Karpat — a klimat, jakby poblizem rokosznych Węgier ożywiony. — W Bochni chcieliśmy zwiedzić żupy solne, ale nam wzbroniono — za to, przed Wadowicami za łaskawem pozwoleniem pana kaprała od szłapaków zwiedziliśmy górę Kalwaryę i kościół księży Karmelitów. Napróżno chciałbym wam odmalować co za wspaniały widok ztamtąd się oku przedstawia. — Po jednej stronie bieleją wsie i miasta — po drugiej zamek Lanckorona na ogromnej górze prawie że ze swemi basztami w ruinach niknie wśród obłoków. — W perspektywie czernieją błękitne wierzchołki Kar-



pat. Ztamtąd przez Wadowice, Kęty — stanęliśmy w Białej — gdzie jest granica oddzielająca Galicję od Szląska. Niepotrzebuję wam opisywać jak przykro nam było porzucać ostatnią piędź ziemi ojczystej, gdzie na każdej twarzy czytaliśmy wyraz rzeźnego politowania i współluczucia. Ale wyznam wam zarazem, że ten smutek w sercu mojem, był niejako wynagrodzony żądzą nowości, potrzebą ruchu, tak silną w sercu młodzieńca, nadzieją i imaginacją jeszcze zuchwałą i niedosyc zrażoną przeciwnościami. Odhysaliśmy dalej podróż naszą przez Skoczów, gdzie Wisła poraz pierwszy ukazuje się z pomiędzy gór — przez Cieszyn, stolicę Szląska górnego — Frydek, gdzie się schodzą granice Szląska, Morawii i Węgier, i tuż nie opodal granica Szląska pruskiego od austriackiego. Dalej już w Morawii przez miasteczko Freiberg, Weitiskirchen, Weiskirchen, Lipnik. — O fortecy Olomuńcu chciałbym wam coś powiedzieć, ale na nieszczęście zamknięci w kozie co się często powtarzało prawie w każdym znaczniejszem miejscu, nie mieliśmy przyjemności zwiedzenia go. Dotąd Szląsk i Morawia przedstawiają widok najczarowniejszy. Odnogi Karpat snujące się w olbrzymich zarysach. Co krok prawie na ich niedostępnych szczytach sterczące zamki w ruinach, bystre, tak kręte strumienie, że często w przeciągu jednej mili kilkanaście razy trzeba je przebywać — wszystko to im nadaje cechę najdzikszej, najromantyczniejszej piękności. — Od Olomuńca kraj uprawny i ludniejszy — wzgórze coraz rzadsze — na końcu w Prośnie i Wiszau jakby się rozplywają w płaszczyznę. Wkrótce daje się tylko spostrzegać na widokregu samotna, panująca nad okolicą jak zła wróżba fatalna góra Szpilberg. Tuż w dolinie miasto Bryn stolica Morawii. O ile wiem, Bryn jest obszerny i liczy około 40,000 mieszkańców. Przez siedm tygodni zamknięty w koszarach, z których tylko kolejno za biletami komissarza rządowego wolno było wychodzić, prawie go nieznałem. Całym mojem zatrudnieniem w czasie pozwołonym była przechadzka w ogrodach publicznych Angarten i Franchbergu, gdzie czasem w pogodny wieczór dawała się słyszeć piękna wojenna muzyka. Niedziele, ile mogłem w kościele Śgo Jabuba przepędzałem. Przyznam się, że nie tyle z nabożeństwa — nie modliłem się — bo widząc zatopiony w modlitwach lud cheiwy, kupiecki bez patryotyzmu i narodowości, wstyd mi było jednym krzyżem z nim się żegnać. Westchnąłem tylko z całej duszy do Boga i ku wam. Uroczystość tej gotyckiej świątyni miała w sobie coś przyjemnego — starożytne sklepienia, marmurowe nagrobki, na jednym z nich posąg, cały w stalową

zbroję przybrany — a nadewszystko organ z kompletną orkiestrą i chórem śpiewaków tak wspaniale wtórujący do tego obrazu, nigdy mi nie wyjdą z pamięci. — Z niechęcią się zawsze ztamtąd oddalałem, żalując, że was tam brakowało. — Franchberg był także ulubionem dla mnie miejscem. Tam często przed południem kiedy ogród był samotny, chodziłem czytać dzieła najęte z biblioteki — wieczór zaś przepędzałem najczęściej w towarzystwie doktora Szymańskiego *pour passer en revue*, jak Francuzi mówią, piękny świat bryński. Jakże nieraz przykro było, mając przed oczyma obraz szczęścia ludzkiego w całej pełni, powietrze świeże i balsamiczne, czuć się na chwilę swobodnym i raptem, jakby zbudzony ze snu, oderwać oczy i serce od tej wspaniałej natury, od tych czarujących twarzy i kibici i wracać do posępnych koszar. Co zaś są te koszary, niestety! które takie światło na mój młodociany umysł rzuciły i w których więcej skorzystałem w nauce i poznaniu ludzi przez siedm tygodni, aniżeli w ciągu mojego życia — chciałbym pożyczyć pędzla Walter Skota, ażeby wam je odmalować. Lecz nie sposób wyobrazić tego zgiełku, tego chaosu jak w korabiu Noego pomieszanych, Mazurów, Krakusów, Wołyniaków, Ukraińców, uczonych i poetów i pocziwych wiarusów, księży, ułanów i piechotyńców. — Któż zdoła wyobrazić ich marsowe dzielne twarze z niezmyśloną wesołością i dumne czoła nieugięte choć w niewoli. — Po ich żywych rozmowach możnaby sądzić, że się nieprzestannie klócą brząkając parą set ostróg po korytarzach z ciosowego kamienia: »A widzicie, jak się ten piechur płacze w ostrogach,« wołają z jednego końca. — »Z drogi kawalerya,« odpowiada. — »Powóli piechurze, ażebyś karku nie skręcił!« — »Kaliszanie głosu nie mają!« — Oho, gdyby nie Kaliszanie, toby was dawno diabli wzięli! — A czemużecie tak pod Kazimierzem nie gadali? Wszak gdyby nie piechota, toby was tam Baszkiry z końmi pozjadały. — »A Baszkiry kapitanie czy to także kawalerya?« — Tylko byś ty studencie milczał! bo to wy dzieci coście i prochu nie wachały a już wam się zdaje, że macie więcej rozumu od starych wiarusów,« odrzekł kapitan, stary legionista, pokrecając siwego wąsa, poprawiając taftas na lewém oku, które stracił pod Ostrołęką. Tam znówu grono dzielnych Ukraińców rozprawia o Daszowie i Obodnem. — Łatwo ich rozeznąć po chaładziowych szlafrokach, paciorkowych myckach i stambulkach na długich cybuchach. — Na ustroniu, we framudze okna siedzi piękny jak Apollo blondyn — błękitne oczy posłał gdzieś na zwiady w przeciwną ulicę — ale byś nie odgadł pod jaką chorągwią walczył. Prawda, że



długie i kędzierzawe pukle przykrył pasową krakuską — ale cóż znaczą białe lampasy drugiego pułku i niebieskie rabaty czwartego i bunda węgierska z karmazynowym kołnierzem? Obok niego z czarną brodą Bernardyn, w habicie z ogórkami i ulański furazerce. Tam gazeta Kamiński, taki był jego przydomek, różnosi nowiny po korytarzu: «Słuchajcie szlachta! Dwudziesta druga sala zaprasza ochotników na wiska, faraona, sztosą, halbiką! — Trzydziesty numer wydaje dziś wieczór tańczący, — poncz!» — Publikacya z drugiego końca. «Już zbliża się koniec świata! Żydzi chazer jedzą i szyją w szabas bez pozwolenia rabina.» Ta przymówka ściągała się widocznie do posilającego się bryńskim salcesonem porucznika Bemicha, czyli, jak pod sekretem powiadano, cerulika z Końskich, a który teraz w koszarach aby choć trochę utargować, trudnił się kusznierstwem. Tam znowu trzech poetów, Jakubowski, Cywiński, Mierziński i wileński akademik rozprawiają o Bironie i Mickiewiczu, o Lelewelu i arystokraty, a Miechowski z poważną angielską miną spaceruje z wydumchanym, przeslicznym Ordonem (bratem sławnego Orдона). Wyznają, że pomimo ciasnoty, wrzawy, były i tam chwile górne. — Jaśniała w zupełnym blasku narodowość bez przymusu i przysady, a kiedy zabrzmiała narodowa muzyka i odezwały się choralne śpiewy, wtenczas widocznem było, że te na pozor niezgodne serca, wszystkie jedną wolą i jednym wspomnieniem były. — Bez żalu jednak opuszczaliśmy Bryn, znudzeni nieczynnością, nie doświadczając najmniejszego współluczia w Morawianach. Co do mnie, były tam tylko jedne czarne oczy i jasno błędną pukle co mi przez całe pierwsze trzy dni podróży z pamięci wyjść nie mogły. Opuściłem Bryn 21. Sierp. w towarzystwie trzydziestu kolegów, okrążając Wiedeń przez Znaim, które, jak tradycja głosi, było niegdyś jaskinią zbójców i od umówionego ich hasła, — znaj mnie! — przybrało nazwanie — przez Rec, już w Austrii, Eienburg, Meisen, stanęliśmy w Krems nad Dunajem. Tu już lud inny, liberalny, prostoduszny — najgościnniejsze przyjęcie wszędzie przez całą Austryę spotykaliśmy tu, zmieniliśmy drabiniaste wozy na eleganckie koczki i karety, któremi nas miasto odesłało do St. Peltten, gdzie na spotkanie nasze, wyszła cała prawie ludność, mnóstwo dam i officerowie konsystującego tam pułku Węgrów, którzy nas zaprosili na przygotowany obiad i spełnili toast pomysłowości Polski. Ztamtąd dalej ciągnęliśmy naszą podróż przez Wilhelmsburg, Heinfeld, Kanonburg, Altmarkt do Neistadt, gdzie się schodzą granice Austrii, Węgier i Styryi. Roskoszne położenie Austrii łamiącej się na przemian w niewielkie i powa-

bne wzgórza i doliny zasadzone winogradem. Kraj ludny, uprawny, miasteczka i wsie najpiękniej zabudowane — rubaszne i wesołe fizyonomie wieśniaków — anielskie spojrzenia i błędną włosy pasterek z taką gracyą, tak elegancko ubranych w porównaniu z naszymi — a nadewszystko gościnność mieszkańców, przyczyniły się niezmiernie do uprzyjemnienia nam tej podróży. — Nie wspominałem wam o zachwycającym widoku nad Dunajem w Krems, gdyż podobne rzeczy łatwiej czuć niżeli wyrazić — wiem tylko że mimowolnie wykrzyknąłem: «Ah, czemuż ich tu nie ma!» — Przykro nam było porzucić Austryę i rozstawać się ze starym pocztowym kapitanem Węgrem, który nas eskortował z Krems aż do granicy, i tak polubił, że nas dzieckimi moimi, nazywał i co stacya, ulubionym trunkiem swoim śliwownicą, popijał zdrowie Polski i Węgier. Przy pożegnaniu, obsypawszy nas błogosławieństwami niemieckimi i łacińskimi dodał: «*Patience mes enfans!*» — Izy mu się w oczach zakręciły, ścisnął pięść i wykrzyknął: «*Basamaelka samaruni!*» — Na wstępie do Styryi jest ogromna góra Sonering, mająca mieć blisko 7000 stóp wysokości. Powiadają, że z jej wierzchołka widać Wiedeń odległy o mil dwanaście. — Od nich zaczyna się łańcuch Alp styryjskich. Nie mogłbym wam wyliczyć wszystkich wspaniałych widoków — wśród gęsto sterczących skał wiją się rzeki Mur, Myra, Sawa, Drawa z Szląska i Morawii. W Sztotwicu widać na przykrój górze zamek w ruinach założony przez sławnego jakiegoś rycerza Waldeka a należący teraz do rodziny Lichtenstein. Utrzymują tam jeszcze kilka pokoi i kaplicę tak jak były od wieków — to jest ołtarz z zaledwo wyciosanej skały, obrosłej mchem i krzyż z dwóch dębów złożony. — Dalej przez Murenszląg, Kirnsberg Bruk stanęliśmy w Gracu, stolicy Styryi nad rzeką Mur, o którym nie a nie wiem, gdyż tylnymi uliczkami uwiecznieni prosto do kozy i tak zamknięci byliśmy. Nazajutrz przed świtem wyprowadzeni, odbywaliśmy podróż przez Marburg nad Drawą, gdzie że było podczas wakacyi, zamknięto nas, czyli grzeczniej mówiąc dano kwaterę w szkołach — co dało powód do wykrzykników: «Czyż nas te Niemcy chcą professorami porobić! — Nie zawadziłoby kapitanie, byle tylko jakich ładnych pensyonarek.» — Dalej przez Feistritz, Pogowicz, Cylli, gdzie znów wykrzyknąłem: «Ah, czemuż ich tu nie ma!» — tak cudnie tu Drawa snuje się pomiędzy dwoma olbrzymimi wzgórzami, na których czernieją ruiny starożytnego zamku i klasztoru — przez Franc, już na granicach Karujoli i Kruzen stanęliśmy w Leibach. Tam znowu w koszarach w liczbie 120 czekając dalszych rozkazów z Wiednia, otoczeni dwoma



batalionami, wysiedzieliśmy kilka tygodni. Czas ten choć w niewoli mniej gorzko upłynął, tyliśmy współuczucia i ludzkości doświadczyli w Leibach. Droga z tamąd do Adelsberg bardzo smutna — błota, jałowe wzgórza. W Adelsberg jedna tylko góra odznacza się wspaniałe ze starymi ruinami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## ROZMAITOŚCI.

**Przyjaciół.** — Kiedy wiadomość o spaleniu się Hamburga na giełdzie paryskiej gruchnęła, wielkie tam w tej świątyni ciecia złotego sprawiła zamieszanie. Rozmawiano o wielkich stratach, i zaręczano, że pan P., który z Hamburgiem w ścisłych zostawał stosunkach, cały stracił majątek. Z początku sam P. wierzył tej wieści i postanowił sobie poradzić. Miał przyjaciela w pewnym Markizie, najbogatszym z ziemskich posiadzcicieli Europy. Do niego spieszy, opowiada mu swoje nieszczęście i prosi o pożyczkę 100,000 franków. Markiz słuchał spokojnie, nie nie wynówiwszy, wstał i dobył wielką księgę z biurka i roztworzył ją przed panem P. Stronnice tej księgi były wypełnione liczbami. P. rzucił oczyma i czytał: 14 Brumaire w roku VIII. pani ... 20,000 franków. — 3. Stycznia 1807. memu przyjacielowi G., który w karty wszystko przegrał i chciał się zastrzelić, 100,000 tal. — 17. Marca 1814. książę C.... po powrocie z wygnania 50,000 funtów. Podobne zapisy znajdowały się na innych stronnicach. P. zaledwie oczom swym chciał wierzyć, przejrzał księgę i znalazł na końcu sumę wynoszącą: 13,900,000 franków. Potem spojrzął na Markiza i rzekł: ale to być nie może mój przyjacielu, abyś tak znaczne summy wypożyczył. — A dla czego nie? — Natenczas byłbyś zupełnie stracił majątek. — Dla tego też właśnie summy te zapisywałem, nie wypłacając ani grosza. Widzisz więc że w mym wieku i dla ciebie, głupstwa nie zrobię. Sam temu byś się oparł.

To mówiąc wziął Markiz pióro do ręki i zapisał pana P. między dłużników do księgi: d. 10. Maja 1842. mój przyjaciel P., który przy spaleniu się Hamburga stracił majątek — 100,000 franków. Zamknął potem księgę i rozmawiał z przybyłym przyjacielem o rzeczach obojętnych.

W połowie Maja znajdowały się na targu londyńskim z Portugalii sprowadzone, groch zielony, tegoroczne ziemniaki, wiśnie, poziomki, agrest, aprikozy, brzoskwinie. Dwanaście brzoskwin płacono

od 5—10 talarów, funt wiśni 5—7 tal., funt ziemniaków od 5—11 złotych.

Wielu z mieszkańców Sycylii nie lubi, aby ich ogrody odwiedzał kto obcy. Na drzwiach przeto umieszczają napis: *Non aperite* (nie otwierać). Anglicy są najciekawszy i dla tego napis taki dla nich szczególniejszą ponętą, nie pytając o pozwolenie wnikają, otwierają drzwi, a tu strumień wody bryzgami swemi w twarz ich wita.

Skrzypce podług najnowszych poszukiwań najpród w Szkocyi i Irlandyi się pokazały, zkąd w 8. wieku Bardowie do Niemiec i Włoch je przeniesli. W Anglii nazywano je chrotta. Wielu sądzi iż je za czasów wojen krzyżowych ze wschodu sprowadzono, ale temu sprzeciwia się płaskorzeźba nad bramą kościoła Śgo Michała w Pawii, gdzie skrzypce są oddane, a kościół już w 11. wieku był zbudowany.

Udoskonalenia daguerreotypu nie mają końca. Dwóch biegłych artystów w Aix: Boutoux i Assenat zmienili zupełnie mechanizm i w kilku sekundach oddają portrety, za których podobieństwo i poprawność, czy to w płaskorzeźbie na metalu i słoniowej kości, czy na innych do tego przysposobionych płytach zaręczają.

W mieście fabrycznym amerykańskim Lowell wychodzi miesięcznie małe pismo peryodyczne: Lowell Offering, do którego piszą same dziewczęta z fabryk tego miasta. Pewna gazeta amerykańska, na której powagę można się spuścić, wątpi, czyli gdziekolwiek równa liczba młodych kobiet ze stanów wykształconych wstanie jest pisać z równą poprawnością i wdziękiem, jak te panienki z fabryk Lowella.

Griffiths w Birminghamie zrobił parę pistoletów, ważących tylko trzy luty.

**Szklanne kamizelki.** — Dawno nie słyszeliśmy nic nowego o postępach w tkaniu szklanych materii. Teraz czytamy w jednym piśmie angielskim nader ważne sprawozdanie w tej mierze. Odkryto sposób tkania materii ze szkła, które równają się najwyborniejszym jedwabiom, a mianowicie wyrabiają ze szkła materye na kamizelki, na suknie damskie, w najświetniejszych wzorach. Tkaniny te przechodzą miękkością i giętkością jedwab, a nawet są od niego trwalsze. O firankach tego rodzaju już dawniej donieśliśmy, i o czarodziejskiem łamaniu się w nich światła w kolorach tęczy. Dziś to już nie jest osobliwością, mieć komnaty płonące najżywszemi kolorami, jakie powstają z łamania się promieni światła w drogich kamieniach. Aby mieć wyobrażenie, trzeba widzieć, trudno opisać skutek jaki wywierają szklane osłony okien.



**Mowa na migi.** — Wiele słyshałem o biegłości Sycylian w rozmowach na migi, mówi Aleksander Dumas; sztuka ta ma pochodzić z czasów jeszcze tyrana Dionizyusza, który pod najsurowszą karą zakazał schadzek i rozmów, dla tego poddani jego wynaleźli inny sposób, aby zastąpić słowną rozmowę. Śród między aktów w teatrze w Palermo widziałem żwawą rozmowę dwóch osób, z tych jedna siedziała w orkiestrze, druga w łoży. W orkiestrze był mój przyjaciel Arami, który poznał w łoży swego przyjaciela; nie widzieli się z sobą od lat trzech, a sądząc po znakach jakie sobie nawzajem dawali, można było być pewnym, że rozmowa nadzwyczaj ich zajmowała. Po tej rozmowie par distance, zapytałem Aramięgo, czy może wiedzieć, o czém rozmawiali.

»Dla czego nie,« odpowiedział; »ten z którym rozmawiałem jest mój najlepszy przyjaciel i już od lat trzech go nie widziałem. Teraz powiadał mi, o swem zaślubieniu się w Neapolu, i o podróżach po Austrii i Francyi. W kraju ostatnim powiła mu żona córkę, która na nieszczęście umarła. Wczoraj przybył parowym okrętem tu dotąd, żona uciepiała na morską chorobę i dla tego sam przybył do teatru.« To już za wiele, pomyślałem; prosiłem Aramięgo aby mnie nie opuszczał i nie porozumiał się ze swym przyjacielem. Przrzekł też zaprowadzić mnie do swego przyjaciela; jakoż zapytany tenże przez Aramięgo powtórzył ustnie to, co Arami ze znaków mi w teatrze wytlómaczył.

Towiański w Paryżu otworzył salon proroczy, na który jednak mało zwabia ciekawych.

**MODY.** — Paryż, dn. 28. Czerwca 1842. — Najwięcej ukazuje się teraz sukien z tkanin gładkich, w pasy lub w drobną kratkę. Inne tkaniny we wielkie lub drobne wzory, bukiety lub gałazki zdają się być zapomniane.

Namienić nam tu wypada, że wszystkie prawie suknie na wyjście mają duże peleryny i półobcisłe rękawy, które są u góry ukosami lub kilku rzędami pasamonów orzucone, u dołu zaś znajduje się wyloga, upięta guzikami lub wstążkami, według garnituru sukien. Peleryna z przodu jest okrągła.

Staniki są gładkie, ale tylko u dołu, u góry zaś w draperie ułożone, w kształt berty lub wachlarza nikną u sznepki, zwiększają ku ramionom, tam rozdzielając się spadają w tył i giną u kibici, zawsze się zmniejszając.

Powłoki są bardzo długie, szczególnież w tyle. Falban mało noszą albo wcale nie; zabkowania i woda więcej się podobają.

Kapelusze słomiane szyte, szczególnież na ranne wzięcie, chętnie noszą. Nie mają żadnego wystroju i pojedynczość stanowi u nich cały powab. Wstążki na krzyż przechodzą i kończą się u brzegu obwodu, który cokolwiek naprzód jest pochylony. Wstążki do wiązania u dołu przypinają.

Kapeluszami strojnemi zawsze pozostaną ryżowe, zdobiąc je marabutem, pięknymi kwiatami lub piórami. Mało widzimy półzasłon; na kapeluszach słomianych noszą długie zasłony w kolorze wstążek.

Na wieczory przeznaczają suknie z krótkimi rękawami i dosyć głębokim wykrojem stanika. Do tego stroju należą kwiaty sztuczne lub naturalne na głowę. Stósować się przecie powinny do przepaski w jaskrawym kolorze.

Grzebień Józefiny najstósowniejszym jest do stroju włosów z angielskimi lokami.

Bóciki i kamasze są po największej części w kolorze kurzawy, rękawiczki z szwedzkiej skóry.

Piękny świat w Paryżu zawsze się jeszcze zgromadza na salonach. Wieczorem tańczą, a wtenczas damy ubrane są w tarlatanowe suknie, białe lub kolorowe haftowane, w gładkie krepy, w indyjskie musliny, także haftowane.

Do podróży do wód lub na wieś wybierają najczęściej fulardy, które najmniej ulegają pognieczeniu.

## Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz piórami i wstążkami zdobny. Obwód na twarz pochyla się. Suknia biała muslinowa, z trzema szerokimi ukosami. Stanik gładki, u dołu bufkami kończasto osadzony.
2. Habit sac z wązkim kołnierzem, z przodu jeden rząd guzików. Pantalony w pasy.
3. Kapelusz z słomy ryżowej, zdobny wstążkami pasiastymi. Kardynalska peleryna, obcisłe rękawy, szlafroczek z gładkim zaokrąglonym stanikiem, wszystko ozdobione pasamonami.
4. Kapotka wystrojona kwiatami. Szlafroczek z równo obszernymi rękawami, zdobny guzikami i koronką. Z pod rękawów na pół długich ukazują się rękawy białe muslinowe, w bufki ściągane.
5. Kapotka powleczone koronką. Szlafroczek z peleryną kardynalską i obcisłymi rękawami. Powłok i inne części zdobne pasamonami.







